NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370 50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. [illegible] Wielkiego L. 95 (dom [illegible]). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 20 sierpnia 1921. Nr. 34.

Groźny wypadek turystów alpejskich



Trzej turyści w Alpach tyrolskich, na prawie prostopadłej ścianie górskiej, w położeniu, w którem bez jadła i napoju przetrwali prawie tydzień.

Groźny wypadek turystów alpejskich.

(Do illustracyi tytułowej).

Zapamiętali turyści, szukający wrażeń w spinaniu się po niedostępnych urwiskach skalnych, narażają się zbyt często na niebezpieczeństwa, kończące się w najlepszym wypadku kalectwem, jeśli nie śmiercią. Historya to jak świat stara, a powtarzająca się corocznie. Szukanie nadzwyczajnych przy-



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Adwokat dr. Ogórek w Rybniku, prezes Górnośląskiej Partyi Ludowej.

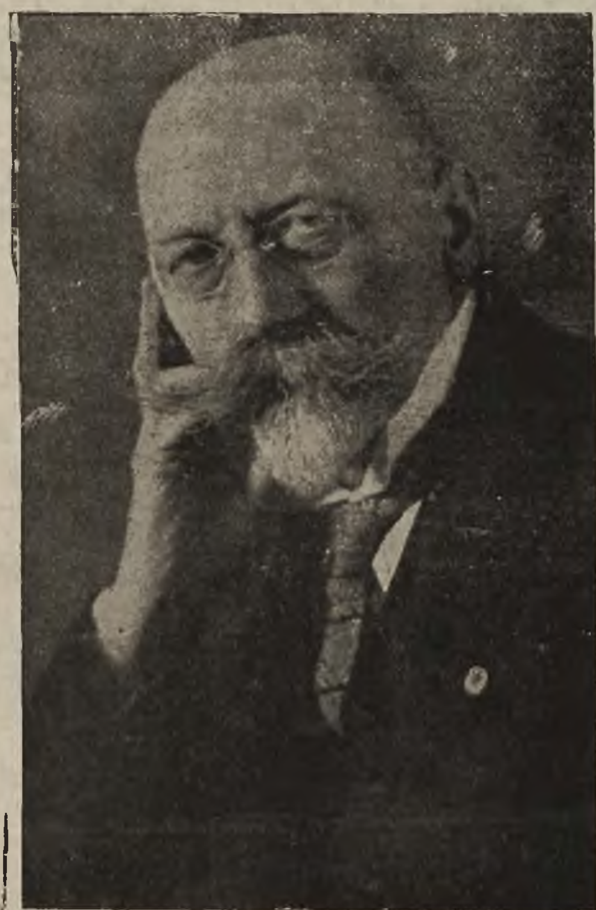
gód, to jak gdyby choroba zaraźliwa, udzielająca się zwolennikom sportu górskiego, połączona z pewnem zaćmieniem władz umysłowych, wykluczającem zdanie sobie sprawy z mogącego grozić niebezpieczeństwa. Niebezpieczne miejsce, w którem kilku turystów uległo katastrofie, staje się celem tem zapamiętalszego próbowania szczęścia dla innych. Kronika wypadków, jakim ulegli turyści, jest też corocznie i to głównie w tym okresie, nadzwyczaj obfita.

Pisma wiedeńskie donoszą znowu o wstrząsającym wypadku, jaki wydarzył się w Alpach tyrolskich, gdzie trzech turystów znalazło się w ścisłem tego słowa znaczeniu „między niebem a ziemią" i w tej pozycyi pozostało prawie tydzień.

Ludwik Netzer, Karol Eichner i Konrad Schuster, odbywając wycieczkę w górach, znaleźli się wśród takich skał i niedostępnych urwisk górskich, że ekspedycya ratunkowa, która wyruszyła im z pomocą, nie mogła od sześciu dni zbliżyć się do nieszczęśliwych turystów, dochodząc do 50 metrów odległości od tych wycieczkowców. Miejsce, w którem znajdowali się turyści, jest prawie prostopadłą skałą, na której leżą kruche odłamki kamienne. Trzej turyści dostali się na tę skałę z niesłychanym wysiłkiem i uwiązawszy się liną, chcieli zejść na dół, ku drodze zwyczajnej. Podczas wdrapywania się na skałę, zostawili turyści u stoku ściany górskiej swoje plecaki i wierzchnie odzienie, tak, że zostali tylko w koszuli i w spodniach.

Tymczasem nadciągnęła niespodzianie silna burza, a zimno i śnieg musiały się dać strasznie we znaki turystom, którzy od sześci dni i nocy wiszą uczepieni u cyplów skalnych, oczekując daremnie pomocy.

Trochę pożywienia dostarczono turystom za pomocą rzuconego sznurka. Podczas akcyi członkowie ekspedycyi ratunkowej usłyszeli, jak trzej nieszczęśliwcy wołali: „Jesteśmy strasznie głodni!" Po długich trudach udało się im pożywienia dostarczyć. Zabłąkani wołali: „Nie możemy się już długo utrzymać w tej pozycyi!"



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Adwokat dr. Maryan Różański, komisarz plebiscytowy na powiat rybnicki.



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Artur Trunkhardt, redaktor *Katholische Volkszeitung* w Rybniku.

Starano się ich podtrzymać na duchu. A tymczasem 24 najlepszych alpinistów z akademickiego klubu turystów wytężało wszystkie siły, by krok za krokiem dotrzeć do trzech uwięzionych w górach wędrowców, przyczem ekspedycya pracowała w dzień i w nocy na zmianę.

Według ostatnich doniesień ekspedycya ratunkowa zdołała dotrzeć ku nieszczęśliwym, wobec czego należy żywić nadzieję, iż zostali uratowani.

Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku.

Ruch narodowy na Górnym Śląsku rozwijał się zawsze, pomimo represyi ze strony niemieckiej, bardzo pomyślnie, kulminacyjny punkt osiągnął przecież w okresie plebiscytowym, kiedy wszystkie partye polityczne polskie poszły ze sobą w zawody, aby wywalczyć zwycięstwo słusznej sprawy. Na różnice zapatrywań nikt wówczas nie zważał, każdy uważał się tylko za Polaka, a jedynem dążeniem jego było osiągnięcie zamierzonego celu, to jest pozbycie się



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Członkowie Górnośląskiej Partyi Ludowej oraz jej prezydyum, dr. Ogórek jego zastępca adwokat Werner i jeneralny sekretarz Gruszka.

niemieckiego jarzma. Wszystkie stronnictwa polskie stanęły ramię przy ramieniu do wspólnej pracy, nie zwalczając się wzajemnie, jak to, niestety, dzieje się u nas, ale pomagając sobie i idąc sobie wzajemnie na rękę. Lud górnośląski wykazywał, że jest poli tycznie dojrzałym, że wie, do czego dąży i umie do tego obrać drogi najwłaściwsze. To też z taką zwartą i potężną całością musi się każdy liczyć, a Niemcy widzą w niej bardzo niebezpiecznego, bo trudnego do pokonania wroga.

Na Śląsku Górnym rozwinęły w okresie plebiscytowym swą działalność cztery partye polskie, to jest Narodowa Partya Robotnicza (Rymer, ks. dr. Kubina, Sikora, Grajek), Polska Partya Socyalistyczna (W. Bobek, E. Caspari, Wiechuła), Chrześcijańskie Zjednoczenie Ludowe (J. Grzegorzek, J. Kowalczyk), oraz Górnośląska Partya Ludowa (Dr. Ogórek, Werner). Z pomiędzy nich najżywszą może działalność rozwinęła Górnośląska Partya Ludowa (*Oberschlesische Volkspartei*) i jej głównie zawdzięczać należy pomyślny wynik plebiscytu w powiatach rybnickim i pszczyńskim, mających bez zastrzeżeń przypaść Polsce. Działalność jej rozszerza się głównie na powiaty rybnicki, pszczyński, raciborski i katowicki, rozporządza ona własnymi organami



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Dr Feliks Biały (X), lekarz w Rybniku, w towarzystwie działaczy społecznych ks. J. Brandysa i p. Macnera.

prasy, wychodzącymi tak w języku polskim jak niemieckim, a w szeregach swych grupuje ludzi oddanych całem sercem i duszą sprawie narodowej. Jest też solą w oku dla niemieckich hakatystów, kierownicy jej i członkowie narażeni są też stale na rozmaitego rodzaju szykany i prześladowania, które jednak nie odnoszą skutku, przeciwnie, stają się bodźcem do rozwinięcia jeszcze bardziej wzmożonej energii. Każdy z jej wybitniejszych członków ma już za sobą cały szereg „zbrodni", za które pruska sprawiedliwość pociągała go do odpowiedzialności, nie obce są im też i mury więzienia, gdzie pokutowali za to, iż czuli się Polakami i z tem się bynajmniej nie kryli. Górnośląska Partya Ludowa zyskała też wśród tamtejszych Polaków ogromne zaufanie, czego dowodem, iż w okresie plebiscytowym udało się jej pozyskać napowrót bardzo wielu zniemczonych Polaków, którzy dzięki pruskiemu wychowaniu zapomnieli o swem właściwem pochodzeniu.

Założycielem, prezesem i duszą Górnośląskiej Partyi Ludowej jest dr. Ogórek, adwokat i notaryusz w Rybniku, osobistość w całym okręgu nadzwyczaj szanowana i ciesząca się ogólnem uznaniem. Pomyślny wynik plebiscytu, to jego głównie zasługa, jego bowiem zabiegom i staraniom zawdzięczać należy przystąpienie do partyi całego mnóstwa zgermanizowanych Polaków, a także i uczciwie myślących Niemców, skłonnych do zgodnego współżycia z Polakami. Dr. Ogórek ur. się w r. 1878 w Szanleji koło Bytomia. Jest on przewidziany na radcę województwa po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski. Ze strony Niemców wycierpiał wiele, nie zrażony tem walczy dalej skutecznie świecąc innym przykładem i stanowiąc wzór polityka, świadomego swych celów i nie uginającego się pod najcięższym nawet ciosem.

Niezapomniane wprost zasługi wobec polskiego społeczeństwa a w szczególności dla Górnośląskiej Partyi Ludowej położył Artur Trunkhard, redaktor *Katholische Volkszeitung*. Wybitny publicysta i doskonały mówca, z rodu Niemiec, nie mogąc się pogodzić ze zbrodniami hakatystów, dokonywanemi na narodzie polskim, przeszedł otwarcie na naszą stronę i jest jednym z najzagorzalszych rzeczników sprawy polskiej, czego dowody składa stale w organie, cieszącym się ogromną popularnością wśród ludności górnośląskiej. Znając dobrze Niemców, ich bezwzględność, zachłanność i perfidyę, umie też przeciwdziałać im skutecznie. Występuje śmiało i otwarcie przeciw wszelkim nadużyciom, a to ściąga na jego głowę prześladowania. Urządzano już na niego zamachy, wyznaczono nawet nagrodę w kwocie 10 tysięcy marek za zgładzenie go, pozostaje przecież mimo wszystko wiernym raz obranemu kierunkowi i sprawy naszej broni z zapałem, jakiego nie powstydziłby się rodowity Polak. W obawie o swe życie z rewolwerem się nie rozstaje, ma go obok siebie i przy pracy w lokalu redakcyjnym. Wychowany w Kollegium OO. Jezuitów w Holandyi, ożeniony jest z Polką z domu Nowak, znaną działaczką. Początkowo zajęty w redakcyi hakatystycznego *Stadtblatt'u* w Rybniku od lat dwu wydaje *Katholische Volkszeitung* organ Górnośląskiej Partyi Ludowej.

Działalnością swoją na polu narodowem w Rybniku i okolicy odznaczyli się ponadto pp. dr. Różański, red. Basista i dr. Biały.

Dr. Maryan Różański, adwokat, rodem z Poznańskiego, od lat dwudziestu pracuje gorliwie na terenie górnośląskim. Za swoje przekonania i pracę narodową więziony kilkakrotnie, w roku ubiegłym napadnięty został przez niemiecką bojówkę, która go silnie poraniła. Swą energią i poświęceniem dla sprawy narodowej zjednał sobie ogólne zaufanie, jako komisarz plebiscytowy oddał sprawie polskiej bardzo poważne usługi.

Redaktor Maksymilian Basista działalność swą na polu narodowem rozpoczął w Westfalii, na gruncie górnośląskim pracuje owocnie od r. 1907. I jemu mury więzienne nie są obce, spędził w nich w r. 1919 trzy miesiące za swą pracę narodową. Od kwietnia 1920 redaguje *Gazetę Rybnicką*, współorgan *Sztandaru Polskiego*, pozostających pod naczelnem kierownictwem p. Michała Kwiatkowskiego znanego publicysty.

Niemniej wybitnie zaznaczył się na polu pracy narodowej lekarz dr. Feliks Biały od lat piętnastu biorący bardzo żywy udział w pracy społecznej. Dowodem uznania jego zasług jest powołanie go na stanowisko powiatowego doradcy w Komisyi Plebiscytowej.

Jako uzupełnienie artykułu podajemy grupę członków Górnośląskiej Partyi Ludowej, oraz illustracye przedstawiające budynek Polskiego Komitetu Plebiscytowego, narażony bardzo często na napady band niemieckich, oraz gmach sądu, gdzie urzędował zacieklały hakatysta, sędzia Hamburger, odznaczający się żywiołową nienawiścią do Polaków i gdzie, zwłaszcza w czasie ostatniego powstania więziono setki niewinnych ofiar za to tylko, iż czuły się Polakami.

Pierwszy Kurs dla nauczycieli śpiewu i muzyki w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 4).

Zakończenie Pierwszego Państwowego Kursu dla nauczycieli śpiewu i muzyki, urządzonego w Krakowie przez Kuratoryum Okręgu Szkolnego lwowskiego, odbyło się 30 lipca b. r. w Seminaryum Nauczycielskiem męskiem w Krakowie.

Absolwenci Kursu wykonali szereg utworów wokalno-muzycznych Moniuszki, Nowowiejskiego i prof. Koniora. Jeden z frekwentantów na ręce Wizytatora Szkół dra Antoniego Mikulskiego złożył Kuratoryum podziękowanie za urządzenie Kursu, zaś Dyrekcyi Seminaryum za udzielenie sal i instrumentów



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Redaktor *Gazety Rybnickiej*, Maksymilian Basista.

muzycznych oraz kierownikowi Kursu prof. Koniorowi i innym prelegentom za ich gorliwą pracę.

Panowie dr. Mikulski, Konior i Bursa w swych przemówieniach podnieśli znaczenie Kursu i intenzywną pracę słuchaczy, którzy mimo ciężkich warunków bytu o własnych kosztach Kurs ten chlubnie ukończyli.

Prelegentami Kursu byli: Inicyator i kierownik Kursu prof. Konior, profesorowie: Ameisen A., Bursa St., Garbusiński K., dr. Reiss J. i B. Wallek-Walewski. Dzięki ich trudom zyskuje szkolnictwo 38 sił nauczycielskich, obeznanych z najnowszymi programami i metodami śpiewu i muzyki tak w szkołach powszechnych, jak i średnich i w seminaryach nauczycielskich.

Uczestnicy Kursu postanowili założyć Związek Nauczycieli śpiewu i muzyki w szkołach powszechnych średnich i seminaryach nauczycielskich, wybierając w tym celu Komitet, w skład którego weszli pp.: Konior, Ameisenówna, Bursa, Garbusiński, Głowacka i Stypa — wszyscy z Krakowa; Klamut z Dębicy, Kuc i Kuszlik z Bochni.

Komitet ma przygotować statut i program pierwszego walnego zgromadzenia.



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Sąd w Rybniku, w którym więziono masowo Polaków zwłaszcza w czasie ostatniego powstania.

Królestwo rumuńscy we Francyi.

(Do illustracyi na str. 9).

Rumuńska para królewska, król Ferdynand wraz z małżonką Maryą i najmłodszą córka Ileaną, bawili w ostatnich czasach w Paryżu. Król Ferdynand powracał z kuracyi w Bagnoles de l'Orne, królowa zaś z pobytu Saint-Briac, gdzie przebywała w towarzystwie swej siostry księżniczki Cyryli. W Paryżu zabawili królestwo rumuńscy kilka dni w charakterze prywatnym, co jednak nie przeszkadzało, że prezydent Republiki, Millerand, przyjmował ich w swej letniej rezydencyi w Rambonillet.

Koalicya wobec króla rumuńskiego zaciągnęła w czasie wojny światowej dług wdzięczności, który tak łatwo spłaconym być nie może. Z chwilą wybuchu wojny zachowanie się Rumunii w stosunku do stron walczących było pierwszorzędnego znaczenia, zachodziła bowiem obawa, że król jako Niemiec z pochodzenia, a nawet kuzyn Wilhelma, stanie po stronie mocarstw centralnych, czem ułatwi im wyjście z trudnego położenia, w szczególności zaś Austryi, która w przeciwnym razie byłaby zmuszoną do utrzymania pogotowia wojennego wzdłuż granicy rumuńskiej, to jest na Bukowinie i Siedmiogrodzie. Niemiecka i austryacka dyplomacya starały się też za wszelką cenę pozyskać Rumunię dla swojej sprawy, zamiary te przecież spełzły na niczem. Kierownicy rumuńskiej polityki widzieli dla siebie i dla swojego kraju większy interes w pójściu razem z Koalicyą i, jak się obecnie okazuje, obrali właściwą drogę. Rumunia, jako członek Koalicyi, zajętą wprawdzie została przez wojska państw centralnych, a król musiał opuścić kraj, ostatecznie przecież wyszła na tem dobrze, rozszerzając znacznie swoje terytorum kosztem Austryi, Węgier, Bułgaryi i Rosyi. Mała niegdyś i bardzo mało znacząca, stała się dziś bardzo ważnym czynnikiem na wschodzie Europy.

Król rumuński jest zatem zawsze mile widzianym gościem w Paryżu, zwłaszcza zaś w obecnych czasach, gdy właśnie politycy rumuńscy dążą do utworzenia „małej Ententy", mogącej wywrzeć wpływ na obecną politykę europejską. Pobyt królestwa rumuńskich w Paryżu, choć, jak już wyżej zaznaczyliśmy, nie był przecież pozbawionym pewnego politycznego znaczenia, czego dowodem, iż w przyjęciu, wydanym na cześć rumuńskich gości, wziął udział i francuski minister spraw zagranicznych Briand. Bezpośrednio po przybyciu do Paryża złożył król Ferdynand wieniec na grobie „nieznanego żołnierza", a towarzyszył mu jenerał francuski Berthelot, który w ciągu wojny był przedstawicielem Koalicyi przy armii rumuńskiej i pozyskał sobie zaufanie i sympatyę u obojga królestwa. Na cześć przybyłych wydał prezydent Millerand śniadanie w Rambonillet, w ścisłem kółku. Zaproszono na nie także kilka wybitnych osobistości rumuńskich i Brianda. Para królewska w towarzystwie najmłodszej swej córki przybyła w automobilu, honory wojskowe oddawał szwadron 4. pułku huzarów. Po śniadaniu goście wraz z gospodarstwem przechadzali się po parku, księżniczka rumuńska zaś w towarzystwie córki prezydenta używała przejażdżki łódką po stawie parkowym.



Z ruchu narodowego na Górnym Śląsku: Budynek Komitetu Plebiscytowego polskiego w Rybniku.

Wojskowy Klub Wioślarski w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 9 i 10)

Ziemie polskie obfitujące w wielkie ilości wód, wysuwają na pierwszy plan konieczność życia się społeczeństwa z tym elementem, w szczególności naszych żołnierzy. Myślą tą kierowana grupa sportowców wojskowych naszej stolicy, stworzyła prawdziwie europejski Wojskowy Klub Wioślarski przeprowadziwszy w ciągu 10 tygodni obszerne prace około budowy szatni na kilkaset osób (pań i panów), hali na łodzie, basenów dla pływaków i nie umiejących pływać, plaży sztucznych na pontonach, długiego pomostu do dobijania łodzi, bufetu i. t. d. Przystań oświetlona jest elektrycznością, na przystani czynny jest telefon. Budowę przeprowadzono bez pomocy finansowej rządu, własnemi siłami. Nietylko młodzi lecz nawet sztabowi oficerowie imali się młota, siekiery i piły oddając swą pracę dla umiłowanego sportu wodnego.

Pięknie uczcił W. K. W. Dzień Żołnierza Polskiego urządzając dnia 6. sierpnia b. r. w południe podniosłą uroczystość poświęcenia przystani, dokonaną przez biskupa polowego dra Galla, podniesienia flagi i chrzest jedenastu łodzi, popołudniu zaś organizując wielką wojskową olimpiadę pływacką.

W południe pięknie przystrojona przystań W. K. W., znajdująca się przy warsz. brzegu Wisły 350. m. poniżej mostu Poniatowskiego zapełniła się. Przybyły tam pierwsze osobistości z pośród jenerałów zarówno z armii polskiej jak i francuskiej, reprezentanci władz państwowych, miejskich, wszystkich związków i towarzystw sportowych warszawskich.

Zebranych powitał mjr. Bobrowski prezes W.K.W.



Pierwszy Kurs dla nauczycieli śpiewu i muzyki w Krakowie: Kierownicy i uczestnicy Kursu.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

54 I.

Pozostaliśmy wrośnięci w ziemię, jak dwa słupy, spoglądając tylko na siebie w milczeniu. W pół godziny później brama otworzyła się znowu i Levy ukazał się w towarzystwie Johna.

— Czy macie panowie pieniądze przy sobie? — zapytał zarządca Dicka.

— Tak odpowiedział Leslie.

— A więc proszę je dać.

— Nie dam — oświadczył stanowczo Dick.

— Dlaczego.

— Nie taka była nasza umowa.

— Czego pan żąda?

— Niech przyprowadzi panią Maryę, a wtedy wypłacimy umówioną sumę.

— A jeżeli ona przyjść nie zechce?

— Ona przyjdzie z pewnością — oświadczył z energią Dick. — Zresztą to zależy od pana.

Brama się zamknęła. Nie miałem sił wymówić słowa. Oschłość i surowość Dicka zdawała mi się być bardzo niebezpieczną dla obrotu naszej sprawy. Byłem w ciągłej obawie, że John i Levy odmówią w ostatniej chwili swojej pomocy, a w tej chwili byłbym chętnie oddał cały mój majątek, aby mieć Maryę. Ale Dick był bardziej ostrożniejszy i bardziej doświadczony odemnie, a przedewszystkiem znał lepiej Anglików i wiedział, jak z nimi postępować należy.

Czy uwierzysz mój przyjacielu, jak długo czekaliśmy jeszcze na ukazanie się Maryi? Całe dwie przeraźliwie długie godziny! Noc ta była okropna! Zimny wiatr wiał po ulicach Londynu, przejmując do kości, a cisza, która zaległa wokoło, doprowadzała mnie wprost do rozpaczy. Widząc to opóźnienie, wierzyłem już w formalną odmowę Maryi. Ażeby nie odczuć tak zimna i oszukać naszą niecierpliwość, chodziliśmy z Dickiem wzdłuż i wszerz po ulicy przed zamkniętym domem, paląc papierosy.

Była już godzina trzecia nad ranem; zimno nocy stawało się z każdą chwilą dokuczliwsze. Już całkiem straciłem nadzieję ujrzenia Maryi, kiedy nagle usłyszałem zgrzyt bramy wjazdowej. Byłem tak wzruszony, że nie mogłem ruszyć się z miejsca. Ukazały się dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Ujrzałem tylko bladą twarz kobiety, owiniętej w długi, czarny płaszcz z kapturem. Opierała się na ramieniu Levy'ego i szła bardzo powoli, krokiem zmęczonym i bezsilnym.

Podeszła jeszcze kilka kroków i nareszcie mogłem dojrzeć dokładnie twarz tej, która przez lat piętnaście była więźniem Markusa Hennera: tej, która w swojem więzieniu przepędziła najpiękniejsze lata swojego życia obok tego potwora brzydoty i złości.

Oh! Ranieri! Co to za twarz była! Linie najidealniejszej piękności występowały w niej wysubtelnione jeszcze łzami i smutkiem; oczy czarne, przecudne, które musiały niegdyś posiadać blask gwiazd najjaśniejszych, miały wyraz nieopisanej słodyczy i cierpienia. Była wysoka, szczupła, cera jej twarzy blada, jak gdyby brak słońca i zamknięcie, w którem więził ją Markus Henner, wyssało z niej ostatnie krople krwi żywej.

Cała jej postać była tak pociągająca, tak interesująca, tak piękna w swoim smutku, że ujrzawszy ją, szepnąłem do siebie: „Oto kobieta, którą kochać będę całe życie, aż do śmierci!"

Oh! Ranieri! Bywają fatalne przeczucia duszy!

Podeszła do mnie, krokiem powolnym, znużonym i kiedy stanęła przedemną, rzuciła na mnie spojrzenie tak błagalne i gorące, iż uczułem, że serce ściska się we mnie z niewytłómaczonego bólu. Głos słodki, zamglony, jak gyby złamany łkaniem, wybiegł z jej ust, które miały odcień najdelikatniejszych płatków róż zimowych.

— Czy to prawda, panie — zapytała — że chce mnie pan zabrać ze sobą?

— To prawda pani — odparłem, uchylając przed nią głowę z pokorą — zapomniawszy zupełnie, że pisałem do niej słowa pełne namiętności i szału.

— Czy to prawda, że zaprowadzi mnie pan do mojej córki — zapytała jeszcze coraz więcej wzruszonym głosem.

— Tak pani — odpowiedziałem cichym, pełnym szacunku szeptem.

— A więc chodźmy panie — odpowiedziała, kładąc z prostotą rękę na mojem ramieniu.

Podczas tego krótkiego, lecz charakterystycznego dyalogu Dick Leslie wręczył Johnowi i Levy'emu sumę obiecaną, dziękując im gorąco za ich współdziałalność w tej udanej sprawie.

Marya i ja staliśmy obok siebie, milcząc. Ona pozostawiła drobną swą, wychudłą rękę w mojej dłoni, a twarz jej wydawała się już być bardziej wypoczętą i spokojną. Musiała się już czuć wyratowaną i bezpieczną przed prześladowaniem swego okropnego dręczyciela.

— A cóż wy zamierzacie uczynić teraz? — zapytał Dick Leslie Levy'ego. — Czy wyjeżdżacie zaraz?

— Doktór powróci dopiero za trzy dni z Dublina. Wyjedziemy więc jutro — odpowiedział Levy.

— Jutro! — zawołał Leslie. — A gdyby on niespodziewanie powrócił jutro rano? Czy ucieklibyście już wówczas przed nim? Wierzcie mi, to człowiek bardzo niebezpieczny. Opuście jego dom przeklęty jutro ze świtem.

Obydwaj służący spojrzeli na siebie i szepnęli do siebie słów kilka. Zapewnie zadecydowali uciec jak najprędzej, lękając się gniewu Markusa Hennera. Po krótkiej chwili ukłonili nam się w milczeniu i odeszli. Marya jednak przedtem podeszła do nich i podała im rękę, którą oni ze czcią ucałowali. Marya miała oczy pełne łez, żegnając się z tymi ludźmi, którzy jedni z otoczenia Hennera okazali się wiernymi i dobrymi dla niej. Patrzałem na tę scenę z ciekawością i dziwne wzruszenie ogarnęło mnie, wstrząsając całem mojem jestestwem, kiedy uprzytomniłem sobie jasno i wyraźnie, że „Marya, więziona ofiara Markusa Hennera, posiadła tylko jedną rękę".

— — — — — — — — — — — — — —

Podejmuję mój list w tem miejscu, w którem go opuściłem. Marya w ów wieczór nie chciała się zgodzić na wyjazd powozem pocztowym, oczekującym w uliczce niedaleko Broadvay. Może ten sposób podróżowania wydawał jej się za powolnym i oddalić się chciała jak najprędzej od Londynu i od swojego prześladowcy. Kiedy zaś jej powiedziałem, że oczekuje na nas yacht, w każdej chwili gotów do odpłynięcia, uśmiechnęła się po raz pierwszy i oświadczyła mi, że pragnie natychmiast na yacht ten się udać.

Dick Leslie szedł obok nas, nie przerywając milczenia, dyskretny i czujny. Marya była bardzo zmęczona. Opierała się na mojem ramieniu całym ciężarem ciała, nie zdając sobie sprawy, jak bliskość jej osoby podniecająco działa na mnie.

— Pytałem się jej od czasu do czasu.

— Co pani jest, Maryo!

— Nic — odpowiadała mi natychmiast złamanym, przyciszonym głosem. — Nic mi nie jest! jestem taka szczęśliwa!

O tej późnej godzinie nocy nie spotykaliśmy nikogo na ulicach Londynu. Szliśmy bardzo powoli i doszliśmy nareszcie na puste wybrzeże Tamizy, skąd dojrzeliśmy w niedalekiem oddaleniu białą flagę „Dundec", odcinającą się na tle ciemności. Yacht od trzech dni czekał tu z rozpalonym kotłem na odpłynęcie. Dick Leslie wyciągnął mały gwizdek z kieszeni i wydobył z niego przeciągły i głuchy świst, podobny do tego, któregośmy już słyszeli obok tawerny złodziei. Odpowiedziano nam natychmiast z yachtu podobnym świstem i łódź o dwóch wiosłach odczepiła się cicho od naszej „Dundec", płynąc w naszą stronę. Łódź zatrzymała się wkrótce przy brzegu. Podszedłem do Maryi. Głębokie westchnienie ulgi wybiegło z jej ust, kiedy noga jej stanęła na borcie łodzi. Rozumiałem jej radość i sam cieszyłem się jak dziecko, że już nakoniec dozwolonem nam jest pozostawić Londyn za sobą.

Jednakże nie odpłynęliśmy jeszcze zaraz. Dick Leslie musiał jeszcze powrócić do Piccadilly, ażeby zabrać moje bagaże i wyprawę, którą przygotowałem dla Maryi. Miał on zarazem zniszczyć wszystkie listy i papiery, pozostawione przezemnie w hotelu.

Muszę przyznać, że Dick wywiązał się z tego zadania tak szybko, że o godzinie piątej, kiedy cienie nocy obejmowały jeszcze brzegi i wody Tamizy, myśmy już płynęli w milczeniu poprzez ciemności.

Rozstałem się z Dickiem głęboko wzruszony. W ciężkiej mojej sprawie okazał mi pomoc brata i czułem, że pieniądze, jakie mu wręczyłem, nie są w stanie opłacić jego trudów i poświęcenia.

— Oddalcie się jak najwięcej i jak najprędzej — rzekł mi jeszcze przy rozstaniu. — Markus Henner prześladować was będzie z zaciekłością. Macie w nim nieprzejednego i potężnego nieprzyjaciela. Uciekajcie więc i schrońcie się daleko stąd. Ja tu czuwać będę i ostrzegę was, o ile będę wiedział, gdzie się znajdujecie. Co zaś do pana, to pan wie, gdzie mnie szukać w razie potrzeby.

Marya, stojąc obok mnie, słuchała ze spuszczonemi oczami rad Dicka i pomimo ciemności widziałem, jak twarz jej pobladła strasznie. Ręka jej, wsparta na mojem ramieniu, drżała silnie.

Pochyliłem się ku niej i zapytałem:

— Czy pani lęka się jeszcze Markusa Hennera?

— Oh! tak — odpowiedziała zduszonym głosem. — Czuję, że ten człowiek mnie zabije.

— To ja go zabiję przedtem jeszcze! — zawołałem oburzony, przyciskając konwulsyjnie jej ramię do piersi.

Nakoniec Dick, kazawszy złożyć nasze bagaże, pożegnał nas i kapitan „Dundec" przyszedł zapytać mnie, czy już odpływać możemy. Zwróciłem się do Maryi.

— Oh! tak! tak! — odpływajmy już! — zawołała z radością w głosie.

Yacht zakreślił szerokie koło na wodach Tamizy i szybko pomknął z prądem wody.

Kiedy brzask zimowego dnia ukazał się, wpływaliśmy już do Oceanu. Marya spała, czy też odpoczywała w swojej kajucie, gdzie ja pozostawiłem samą, aby przyjść do siebie mogła po przeżytych wrażeniach.

Czy mam Ci powiedzieć Ranieri, co zaszło zaszło następnie pomiędzy mną i Maryą? Czy mam Ci opowiedzieć, jak droga ta istota przywiązywała się z każdym dniem coraz silniej do mnie, do człowieka, który zaryzykował życie swoje i majątek, aby ją ratować?

Wierzę, że przez te trzydzieści dni naszej podróży, w której żyliśmy w takiem zbliżeniu, poznała nareszcie może po raz pierwszy cały ogrom przywiązania serca, oddanego jej aż do śmierci, żyjącego tylko dla niej przez nią. Podczas kiedy yacht przepływał szybko przez Ocean, mieliśmy sposobność poznania się i dusze nasze, wolne od wszelkich przymusów, ignęły do siebie z upajającą siłą, która związać miała nasze przeznaczenia. Marya przecież była kobietą jeszcze młodą i piętnaście lat więzienia w samotności nie zdołały jednak zniszczyć jej zdrowia i piękności. Oh! tak Ranieri, ona była jeszcze bardzo piękna!

Opowiedziała mi całą tajemnicę otaczającą jej życie, a które znajdziesz opowiedziane mój przyjacielu w liście Markusa Hennera i w drugim liście, liście Maryi, pisanym do córki swojej Racheli Kabib. Opowiedziała mi to w długie wieczory kiedy po zarzuceniu kotwicy w małym porcie Scheveningen pozostaliśmy w tej wiosce by schronić się przed zimowemi burzami Oceanu. Ah! Ranieri! ona mnie pokochała ostatnią, bladą, zamierającą miłością jesienną, lecz tak pełną słodyczy i oddanie, tak rwącą się jeszcze do żywych radości życia, których pozbawioną była w swojem więzieniu, że nigdy, nigdy, gdyby nawet długie lata przejść jeszcze miały nad moją głową, nie zapomnę ani na chwilę tego głębokiego upojenia. Ta kobieta Ranieri dochodziła do ostatnich blasków i porywów miłosnego swojego życia i w miłości tej czuć było cały żal zmarnowanej młodości i gorące pragnienie pochwycenia ostatnich jej promieni. Czuć było, że cała oddaje się bez zastrzeżeń, całą siłą utajonych łez, długą namiętnością i uczuć i chce wykorzystać każdą chwilę, która jej pozostaje do życia.

Pomyśl tylko Ranieri! Przez lat piętnaście żyła pod dręczącą zmorą zbrodniczej miłości potwora, przez lat piętnaście walczyła z namiętnością tego człowieka w życiu i marzeniu, ażeby te ostatnie słowa stały się zrozumiałemi dla ciebie przeczytaj list, w którym Markus Henner spowiada się ze swoich zbrodni. Przez lat piętnaście ona mówiła „nie" i człowiek ten przyzwyczajony, aby wszyscy ulegali sile jego sugiestyi, ten człowiek, który ujarzmiał dusze najodporniejsze nie zdołał zwalczyć wątłej woli jednej nieszczęśliwej istoty, mającej tylko w modlitwie obronę i pomoc.

Kobieta ta była piękna. Mając lat dwadzieścia pięć oderwaną została brutalnie mężowi i córce i porzucić musiała na zawsze wygodne życie i przyjemności świata, które dotąd były jej udziałem.

Człowiek, którego kochała, szlachcic węgierski, nazywający się Jan Straube, zabitym został przez Markusa Hennera, a ona nie wiedziała nawet gdzie grób jego się znajduje.

Kobieta ta, Ranieri, pokochała mnie całą swoją duszą zbuntowaną przeciw przeszłości swojej zamarłej, przez wdzięczność i dlatego aby użyć jeszcze trochę szczęścia i życia przy końcu dni swoich i dlatego także, że ja pokochałem ją tak gorąco. Przez te lat piętnaście stawszy się pokryjomu gorliwą chrześcijanką, wiodła życie we łzach i modlitwie, życie poświęcone jedynie Bogu i wspomnieniu córki. Przy mnie jedynie, który ubóstwiałem ją do szaleństwa dusza jej zamierająca rozkwitła raz jeszcze, jak pąk jesienny na więdniejącej już gałęzi kwiecia.

Jeżeli możliwem jest szczęście zupełne pomiędzy dwiema istotami, które przeżyły wiele niebezpieczeństw i wiele najtwardszych prób życiowych, zdolnych do rozgoryczenia na zawsze duszę najodporniejszą – to, to szczęście Ranieri było naszym udziałem.

Wielkie miłości mój drogi przyjacielu nie dadzą się ująć w słowa. Są to tylko długie sceny monotonne zdolne do wywołania drwiącego uśmiechu na ustach ludzi, którzy nie zaznali nigdy rozkoszy zupełnego oddania istocie drugiej.

Do opowiedzenia miłości naszej, wstrzymuje mnie poza tem jakiś wstyd wewnętrzny i delikatny, który dobrze zrozumiesz Ranieri.

Powiem ci tylko tyle, że kobieta ta stawała się młodszą przy mnie z każdą godziną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIOTR MARIAGER.

Za szczęśliwi.

(Opowiadanie z przeszłości).

— Pozwolisz, panie — zapytał Glaukosa jeden z młodszych, o sprytnem wejrzeniu, niewolników — abym i ja słówko dorzucił.

Glaukos skinął ręką na znak potwierdzenia.

— Zdaje mi się — mówił, że sternik ma racyę, podejrzewając naszego gońca. Jeżeli to jest w istocie łódź lekka, to łatwo mogłaby nas dogonić, jeżeli zaś tego nie czyni, to ma w tem jakiś cel i to niezupełnie ułność budzący. Okażą się zresztą ich zamiary.

Rozmowy i debatowania, tyczące się owej nieznanej łodzi ciągnęły się dość długo, bo do zachodu słońca. Na zachodzie ognista kula rozlała dokoła blask, co oświeciwszy niebo, spadał na fale morskie, wyzłacając brzegi zagłębień ruchomej masy. Nad okrętem rozpostarła się płachta chmur odmiennego kształtu i koloru, co na podobieństwo mięszaniny ciemno-niebieskiej barwy z białą zalewała lazurowe tło. Okręt sunął wolniej, wiatr bowiem ustał. Wioślarze zasiedli do pracy, pieśń monotonną nucąc, statek mknął szybciej.

Inaczej zachowywano się na małej łodzi; snadź znajdujący się na niej ludzie wszystkich sił dokładali, aby doścignąć okręt Glaukosa; przestrzeń między statkami zmniejszała się ustawicznie, coraz widoczniejszy stawał się punkcik czarny i w niedługim czasie ujrzano dokoła łodzi wodę spienioną — jasny był znak, jak się spieszono. Nagle z grona zebranych na pokładzie wyrwał się okrzyk:

— Zginęliśmy. Poznaję zdaleka statek zbójecki. To Tyamis, byłem już raz w jego rękach i ledwo uszedłem śmierci.

Słowa te sprawiły przerażenie, na pokładzie zawrzało od strachu. Jedni byli w oczekiwaniu śmierci, inni łamiąc ręce, rozpaczali o swem położeniu, sądząc w naiwności, że się tym sposobem obronią, ten i ów zmykał pod pokład, z myślą ukrycia się, a niektórzy radzili spuścić co rychlej łódź na morze i ucieczką ratować się od niechybnej śmierci. Łódź rozbójników, siłą wszystkich wioseł parta, zbliżała się.

Glaukos, dodawszy żonie nieco odwagi i zaleciwszy jej skrycie się razem z Kaliasem do wnętrza namiotu, zwołał wszystkich niewolników i podróżnych i w te odezwał się słowa:

— Przyjaciele! jeżeli nie zdołamy odeprzeć tych nędzników, śmiercią okupimy naszą niemoc. Liczebnie przewyższamy nieprzyjaciela i jest nas dosyć, aby ocalić okręt i własne zachować życie. Oprócz mnie i sternika jest pięciu kupców i sześciu żeglarzy na pokładzie. Wolnych jest z pośród nas trzynastu, nadto mamy z sobą trzynastu wioślarzy, czterech moich niewolników i dziesięciu towarzyszących jadącym z nami kupcom. Ponieważ zaś nasi przeciwnicy, oprócz statku, który ich wiezie, nie posiadają łodzi, przeto możemy być napadnięci z jednej tylko strony i to na przestrzeni nie większej, jak ich czółno. Dwudziestu odważnych ludzi wystarczyć powinno na odparcie takiego napadu, a nas jest czterdziestu. Broń otrzymacie od sternika, bo choć nigdy się z morskimi rozbójnikami nie potykałem, zawsze byłem przygotowany na przyjęcie rabusiów. Jeżeli zwycięstwo przy nas zostanie, moim niewolnikom daruję wolność, a każdemu z żeglarzy sowitą nagrodę. Pokażcie ważną odwagę — a zwyciężymy. I tę mamy wyższość nad nimi, że z wysokiego bronimy się miejsca, jak z fortecy.

— Pozwólcie im zbliżyć się — mówił spokojnie sternik — przyjmiemy ich tak gościnnie, że raz na zawsze odechce im się zaczepiania statków ateńskich.

Załoga przyjęła wezwanie dowódcy milczeniem, które nic dobrego nie wróżyło, a w chwili, kiedy sternik rozdawał broń, niektórzy jawną niechęć ku temu okazywali.

— Nie bądźcie głupcami — przekładał jeden z cypryjczyków — rzućcie w porę broń i zdajcie się na łaskę. Rozbójnicy umieją to ocenić, lecz gdy kogo schwycą z orężem w dłoni, na miejscu trupem położą.

Myopara okrążała okręt Glaukosa, coraz bardziej się zbliżając, coraz zuchwalej nacierając. Dumnie wyglądała ta maleńka łupina, która swem zachowaniem zdawała się urągać nieruchomemu olbrzymowi. Pieniło się morze dokoła łódki, a ona pruła powierzchnię, parta siłą wszystkich wioseł. Lekkości swojej zawdzięczała możność otoczenia okrętu i ciągłego zabiegania mu drogi.

Nagle na okręcie zbójeckim zabłysnęło światło. W oświetleniu dwudziestu pochodni ukazała się zbita masa ludzi, ruszających się gwarem rozmowy głośnych. Tu i ówdzie błyszczała biała broń, która raziła oczy, nim ciało szarpnęła.

Na przodzie okrętu widać było dominującą ponad wszystkimi postać dowódcy; atletyczna jego postawa rzucała się każdemu w oczy, a zarówno bogaty strój, jak i pewność w głosie i ruchach doskonale dostrajały się do całości dzikiej lecz imponującej; w ręce lewej trzymał trójząb stalowy, lśniący przy blasku pochodni.

— Biada nam, biada — lamentował kupiec, ten sam, który pierwszy spostrzegł czółno rozbójników. To z pewnością Tyamis, najokrutniejszy z pośród rabusiów.

Glaukos ujrzał teraz dopiero i poznał w Tyamisie owego kupca owiec, którego nazwał barbarzyńcą; teraz pojął, dlaczego mu tak zależało na zbadaniu wszystkich tajemnic okrętu Glaukusowego. Wkrótce okręty zbliżyły się do tyła, iż prawie stykały się bokami.

— Nieopatrzni — ozwał się głos z łodzi. — Po co dobrowolnie szukacie śmierci? Czy sądzicie, że zdołacie się oprzeć sile? Oddajcie nam okręt wasz, a pozwolimy wam odpłynąć na waszej łodzi.

Glaukos posunął się na front statku i zawołał:

— Nikczemni! czy sądzicie, że nam zbywa na ludziach lub broni?... Do ostatniej kropli krwi bronić się będziemy, a bogowie rozstrzygną o zwycięstwie.

Z łodzi odpowiedziano śmiechem.

Wkrótce rozbójniczy zaczęli się ruszać i przygotowywać do napadu. Z grona ich jeden człowiek o dzikiem obliczu, w czapeczce frygijskiej na głowie, wspiął się na wzniesienie koło masztu będące i donośnym głosem krzyknął:

— Teraz już za późno! zginiecie, gotujcie się na śmierć! Pomrzecie wszyscy!

Wśród załogi Glaukosa poczęły się narzekania. Ale głośniejszem ponad to były płacz i szlochania Kaliasa. Usłyszawszy je człowiek w frygijskiej czapce, wyk.zywił twarz i przedrzeźniając płacz dziecka, rzekł:

— Obrzydliwy krzykaczu! Wnet ja cię uspokoję *delfinem*. To mówiąc, zwrócił się do otaczających ze słowami: „wrzućać!" Za pomocą *ad hoc* urządzonej maszyneryi olbrzymia masa stopionego ołowiu podniosła się w górę, z niezwykłą siłą puszczona na okręt, padła, niszcząc i gnioląc napotkane na drodze przedmioty. Przyrząd taki nazywano delfinem.

W tej właśnie chwili Charikleja, chcąc zejść pod pokład, ukazała się w drzwiach namiotu, trzymając płaczącego Kaliasa na rękach. Nagle poczuła, że drogi jej ciężar z rąk się wysuwa, a ona sama upada w olbrzymi otwór, uczyniony upadkiem delfina. Straciła przytomność, zamknęła oczy, widząc, iż niema ich po co otwierać... Kalias nie żył... jakby przez sen, słyszała głos człowieka o przykrem obliczu, głos, który w jej sercu odbił się echem doznanego nieszczęścia.

-- Słyszycie, jak się ten malec uspokoił! — wołał — pojechał wraz z delfinem przez Styx się przeprawiać! — To mówiąc, jednę nogę oparł na łodzi, drugą wstępował po rzuconym pomoście na okręt Glaukosa. Chariklei zdawało się, iż krwawe mgły wzrok zaciemniają — w łonie matki zbudziła się zwierzęca jakaś wściekłość, białka na pół otwartych oczu krwią jej nabiegły, chwyciła miecz, leżący na pokładzie i rzuciła się na mordercę. Cios był skuteczny. Rozbójnik zwalił się całym ciężarem swego cielska w ciemną otchłań.

Na widok śmierci towarzysza, z piersi rozbójników wyrwał się okrzyk zgrozy i wściekłości.

Ku pomostowi sunęło zaraz kilku z odważniejszych, którzy dostawszy się na pokład, trupem kładli każdego, kogo spotkali. Glaukos zachęcał do boju, lecz nadaremnie, większa część załogi rzuciła broń, prosząc rozbójników o łaskę. Tyamis dał rozkaz zaprzestania rzezi. Pozwolił kupcom opuścić statek, nie pozwalając jednak zabierać z sobą nic, okrom ubrania, które mieli na sobie.

Łódź okrętową spuszczono na morze i załoga, umieściwszy się na niej, co rychlej odpłynęła. Glaukosa i Charikleję wprowadzono na łódź. Tyamis wraz ze swymi wspólnikami udał się na rabunek okrętu, zabierał co kosztowniejsze, na swój przenosząc okręt. Woda napełniała statek coraz bardziej, który już zagłębiał się, aż wreszcie utonął. Naprzód piana, później kręgi wody zamknęły ten grób.

— Ah! nędznicy! — zawołał Glaukos — zniszczyli mój najlepszy okręt. Charikleja zwróciła zwróciła wzrok swój ku niebu.

Wkrótce stawiono ich przed Tyamisem; siedział na wzniesieniu, a ujrzawszy swych więźniów, powstał i odezwał się w te słowa, z grzecznością, która nie wróżyła nic dobrego:

— Nie sądź Glaukosie, abym chciał ciebie i żonę twoją przetrzymywać w niewoli, abym miał liczyć na okup, jakiby mi wasza rodzina wypłacić mogła. I my, *barbarzyńcy*, umiemy być wspaniałomyślnymi. Ateńczyku, wracaj do rodzinnego miasta!...

Ręką dał znak i czterech niewolników stanęło u brzegu łodzi; dwóch trzymało drabinkę, inni pochodniami przyświecali tej egzekucyi. Drabinę oparło w ten sposób, iż jeden jej koniec zagłębiał się w morzu.

— Bywaj zdrów Glaukosie — przemówił Tyamis, wskazując na drabinkę. — Daję-ć wolność, korzystaj z niej. Droga otwarta.

Glaukos oniemiał na podobnie szyderczy wyrok. Błędnem spojrzeniem powiódł po otoczeniu. Oprócz nienawiści nie wyczytał nic w żadnej twarzy. Charikleja była blada.

Glaukos schwycił ją za rękę.

— Zbierz odwagę — przemówił. — Spełnia się twoje życzenie. Wszak powiedziałaś: śmierć może przyjść *kiedy* chce i *jak* chce, byleby nas wspólnie zabrała, czyż nie wziąłaś owej błyskawicy za znak potwierdzenia.

Łzy zabłysły w oku Chariklei.

— Przebacz mi — wyłkała — nie wiedziałam, o co proszę.

Spojrzeniem, w którem miłość zwyciężyła obawę, obrzuciła męża i ręce mu splotła na szyi. Glaukos objął ją wpół i zwolna poczęli zstępować ze szczebli drabiny... A gdy już jeden tylko oddzielał ich od morza, spojrzeli na pokład. Zbójcy z niecierpliwością oczekiwali końca tej tragedyi. Za dumny był Glaukos, by o łaskę prosić, nawet na progu śmierci; ścisnął silniej żonę i zstąpił z ostatniego szczebla.

Morze zamknęło się nad dwoma ciałami, a maleńki wir, jaki się przez chwilę utworzył, był jedynym śladem grobu dwojga ludzi *za szczęśliwych*, połączonych zarówno w śmierci i życiu, podążających tam, skąd nikt nie wraca...

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Sterezewskiej.

TOM II.

— Przeziębił się jednego wieczoru kąpiąc się w Nilu — gdzieś koło Kons, zdaje mi się. To go uczyniła wrażliwszym, niż zazwyczaj.

— Naturalnie. Tak, że się już czuł niezdrów, kiedy popełnił to szaleństwo w Tebach?

— Nie był zdrów, ale właściwie i nie chory.

— Jaką długą mieli panowie pogawędkę! — odezwał się jakiś głos.

Obaj mężczyźni drgnęli. Na twarzy doktora Baring Hartley ukazał się wyraz zmieszania, jak gdyby został złapany na gorącym uczynku.

Mrs. Armine stała u wejścia na pokład.

XV.

Podeszła do nich.

— Widzę, że panowie się poznali bez żadnego pośrednictwa.

Była w kapeluszu z welonem; w ręku trzymała wachlarz.

— Czy to możliwe, żeby pani nie spała po veronalu, który jej dałem? I po takiej nocy, jaką pani miała. Pani nie powinna...

Dr Hartley, ciągle z miną winowajcy, stał przy niej.

— Doprawdy nie mogę pozwolić... — mówił z gorączkową troskliwością.

— Wasze głosy mnie zbudziły.

Zamilkł.

— Jak się pan ma, doktorze Isaacson. Proszę wybaczyć moją szczerość, ale zważywszy, że panowie obaj są lekarzami. Tembardziej się dziwię ich głośniej rozmowie o chorym, który śpi w pobliżu. Jeszcze chwila, a mój mąż byłby się obudził. Co do mnie, wybiliście mnie ze snu i przyszłam w nadziei, że będę mogła panów skłonić do cichej rozmowy.

Twarz jej była śmiertelnie blada pod welonem! głos, jakkolwiek cichy, pełen ostrej ironii i goryczy i było coś jakby jadowitego w całem jej zachowaniu.

— Pytanie — dodała — czy mój biedny mąż będzie mógł mieć trochę spokoju, czy też nie. Kiedyśmy się tutaj zatrzymali, zdawało się nam, że znajdziemy spokój, lecz widocznie omyliliśmy się. W każdym razie mam nadzieję, że konsylium jest na ukończeniu, gdyż głowa poprostu mi pęka.

Dr Hartley był purpurowy. Rzucił gniewne spojrzenie na Isaacsona.

— Nie było żadnego konsylium — rzekł.

Oczy jego i cała postawa błagały o przebaczenie.

— Konsylium się nie odbyło? a zatem po co ta cała gawęda? Czy panowie obudzili mnie rozmawiając o świątyniach lub o pogodzie? Doprawdy to zawiele.

Łatwo było zauważyć, że ledwo panowała nad sobą.

— Myślę, że wyprawię was obu na zwiedzenie Edfu — ciągnęła zaczynając się wachlować. — Tam będziecie mogli nagadać się do woli i zawrzeć serdeczną przyjaźń i jeden tylko dozorca będzie was słyszał. A wtedy biedny Nigel zażyje trochę snu. O sobie już nie mówię.

Nagle ziewnęła zakrywając usta wachlarzem.

— Ah! — rzekła.

Wykrzyknik ten był czemś między westchnieniem a łkaniem. Zaraz po nim odchrząknęła.

— Powiedziałem doktorowi Isaacsonowi, że jego bytność dzisiaj jest zupełnie niepotrzebna — zaczął Hartley. — Dodałem, że nikt nie żąda konsylium. Prosiłem go, żeby mi pozostawił dalsze staranie. Ciągle i ciągle...

— Oh, pan nie zna doktora Isaacsona, jeżeli pan myśli, że grzeczna prośba może uczynić na nim wrażenie. Jeżeli zechce do czegoś się wtrącać, wtrąci się i nic na świecie go nie powstrzyma. Pan zapomina o jego narodowości.

Ziewając ponownie, wzruszyła ramionami.

Pani krzywdzi mnie strasznie i pani wie o tem! — rzekł Isaacson cichym głosem.

Położył był swój kapelusz na stoliku. Teraz go wziął. Po co było pozostawać? Czy szanujący się człowiek mógł zostać? A jednak ciężką toczył walkę. Gdyby był pewny tego Hartley'a, mógłby może odejść ze spokojem. Albo, gdyby był pewny czegoś innego... zupełnie pewny... zostałby i działał nie zważając na kobietę, która go nienawidziła. Ale pomimo czujności swego instynktu, pomimo swych obserwacyi, zupełnie pewnym nie był. Wiedział tylko jedno, to, że młody człowiek, w którego rękach spoczywało życie Nigla, był pod urokiem Mrs. Armine.

Trzymał kapelusz ściskając jego brzeg palcami. Doktór Hartley patrzał na niego z jawną niechęcią wyprowadzonego w pole egoisty. Miał czas się spostrzedz, że Isaacson subtelnie przywiódł go do uczynienia tego, czego nie chciał. Gdyby nie niespodziane zjawienie się Mrs. Armine, choroba Nigla byłaby omówioną przez obu lekarzy.

— Pani mnie krzywdzi! — powtórzył Isaacson — bezwstydnie krzywdzi.

Czy odejdzie tak przypuszczał, a jednak nie odchodził.

— Tu nie chodzi o żadną krzywdę, lecz fakty są faktami.

Twarz jej nosiła ślady fizycznej udręki. Lekarstwo nasenne, które zażyła, walczyło z jej wolą czuwania.

— Nigel pana nie potrzebuje — rzekła.

— Jak pani może to mówić? To nieprawda.

— To prawda. Czy nie tak, doktorze Hartley? Czy mój mąż...

Ziewnęła znowu i położyła rękę na poręczy krzesła.

— Czy nie prosił, żeby pan pozostał na łodzi i dalej go pielęgnował?

— Bezwrunkowo tak! — zawołał śpiesznie młody człowiek uradowany z przywróconej łaski. — Bezwarunkowo!

— Czy nie prosił, żeby go pan „ratował", jak się wyraził?

— To były jego słowa.

— A zeszłej nocy? — zapytał Isaacson utkwiwszy w nią oczy.

— Zeszłej nocy pan go przestraszył wpadając do niego bez oznajmienia, ani przygotowania. Czy to nie było okrucieństwem, doktorze Hartley?

— Tak, okrucieństwem nie do darowania! Gdyby coś złego się stało, pan byłby odpowiedzialnym doktorze Isaacson.

— A wreszcie pan zmusił go do zażycia swego lekarstwa, i miał straszną noc skutkiem tego.

— Nie skutkiem tego, co ja mu dałem! — rzekł Isaacson.

— Owszem, skutkiem tego.

— Stanowczo nie.

— Nigdy nie miał takiej nocy przedtem — nigdy, aż pan się wtrącił, przeszkodził kuracyi, doktorowi Hartley.

— Ohydne! zawołał młody lekarz. — Nie słyszałem nigdy o takiem postępowaniu. Gdyby to opublikować, pańska lekarska sława bardzo by na tem ucierpiała.

— A ja nie dbałbym o to — rzekł Isaacson. Palce jego już nie ściskały brzegu kapelusza lecz lekko go trzymały. — Nie dbałbym. Lecz sądzę, że jeżeli się nie zachowa wielkiej ostrożności w tej sprawie, nie moja sława lekarska zostanie zrujnowaną.

Jakby machinalnie Mrs. Armine posunęła krzesło, którego poręcz trzymała.

— Co pan chce powiedzieć? — zapytał doktór Hartley.

— Mr. Armine jest znanym człowiekiem. Prawie wszyscy turyści na Nilu i większość osób, mających jakie znaczenie w Kairze, wiedzą o jego chorobie... słyszeli o jego przypuszczalnem porażeniu słońcem.

— Przypuszczalnem! — przerwał młody lekarz z oburzeniem — przypuszczalnem!

— Wszyscy ci ludzie dowiedzą się o nazwisku ordynującego lekarza — lekarza, który odmówił konsylium.

— Dowiedzą się? — rzekł Hartley.

Pod nowym atakiem Isaacsona jego pewność siebie zaczęła się zmniejszać.

— Wkrótce będę w Assnau i w Kairze — rzekł Isaacson.

Mrs. Armine poziewała i oparła się o krzesło. Twarz jej drgała pod welonem.

— Doprawdy! Co to może mnie obchodzić? Czy pan przypuszcza, że popełniłem coś nieuczciwego, ażeby kuracya została mi powierzoną?

Zaśmiał się z przymusem.

— Nie, lecz myślę, że pan może gorzko pożałować, że miał coś z tą chorobą do czynienia.

Mimo woli młody lekarz był pod wrażeniem tych słów. Na chwilę otrząsł się z uroku, jaki na niego wywierała Mrs. Armine. Isaacson, kiedy chciał, mógł opanować prawie każdego. To była jedna z przyczyn jego powodzenia jako lekarza. Mógł nakazać wiarę w siebie.

— Pomyłki zdarzają się na świecie — dodał spokojnie Isaacson — lecz nie chciałbym być lekarzem, który jedną z nich popełnił.

Mrs. Armine zawróciła nagłym ruchem krzesło i siadła.

— W istocie to najdłuższe konsylium, jakie kiedykolwiek się odbyło — rzekła.

Położyła ramiona na poręczach krzesła i zwiesiła ręce.

— Namów pan, doktorze Hartley, mego męża na doktora Isaacsona, jeżeli pan stracił zaufanie do samego siebie. To będzie najlepiej i może nareszcie zażyjemy trochę spokoju.

Dr Hartley zwrócił się do niej, jakby pociągnięty za sznurek.

— Ależ ja wcale nie straciłem zaufania. Jak już tyle razy powtarzałem, niema w tym wypadku nic skomplikowanego...

— Pan tego rzeczywiście pewny? — rzekł Isaacson utkwiwszy swe ciemne oczy w młodego człowieka.

Doktór Hartley zaczął być widocznie nieswój.

— Naturalnie, że jestem pewny... jak na teraz.

Ostatnie słowa przedstawiły mu się jak deska ratunku. Chwycił się ich skwapliwie.

— Jak na teraz... tak. Żaden lekarz ma się rozumieć — najmędrszy nawet — nie może zaręczyć, że żadne komplikacye się nie pokażą. Lecz na teraz jestem zupełnie zadowolony. Wszystko idzie tak, jak iść powinno.

Lecz intonacya jego głosu przy ostatnich wyrazach była jakby pytającą.

Isaacson posiadał jedną wielką zaletę, której brak prowadzi nieraz do przykrości, czasem nawet do katastrof. Wiedział kiedy się zatrzymać. Przed chwilą był gotów odejść, opuścić tę łódź na pewien czas. Uczynił wszystko, co mógł uczynić bez awantur. Pytająca intonacya Hartleya przekonała go, że uczynił dostatecznie.

— To dobrze — rzekł.

Głos jego był obojętny, lecz twarz zwrócona do młodego lekarza wyrażała poważne powątpiewanie... powątpiewanie wielkiego lekarza skierowane do małego.

— To dobrze — powtórzył spokojnie.

— Do widzenia, Mrs. Armine — dodał.

Siedziała oparta na fotelu, ramiona jej ciągle spoczywały na poręczach i ręce miała zwieszone. Podczas gdy to mówił jedna z tych rąk wypuściła wachlarz, który upadł na dywan. Nie zwróciła na to uwagi.

— Pan rzeczywiście odchodzi? — rzekła.

Słaby uśmiech zarysował się na jej ustach.

— Tak.

— A zatem do widzenia.

Odwrócił się od niej zwolna.

— Do widzenia, doktorze Hartley — rzekł.

Cała rozmowa od czasu przybycia Mrs. Armine była prowadzona zniżonym głosem. Lecz teraz Isaacson mówił łagodniej, przenosząc wzrok z dr. Hartley na wysoką postać siedzącą w fotelu i z niej znowu na Hartley'a. Nie wyciągnął jednak ręki.

Dr Hartley rzucił także szybkie spojrzenie na fotel.

— Do widzenia — rzekł wahająco.

Młodość jego, wyglądająca z poza tego wahania była w tej chwili tak widoczną, że Isaacsona gniew na niego znikł do szczętu.

Mrs. Armine poruszyła lekko głowę opierając ją o poduszkę i westchnęła.

Isaacson szedł zwolna przez długi pokład urządzony jak salon. Szedł ostrożnie pomiędzy meblami jakby przez wzgląd na chorego, który spał na dole. Wreszcie doszedł do wyjścia i zaczął schodzić. Był właśnie w końcu schodów, kiedy usłyszał za sobą cichy szept.

— Doktorze Isaacson!

Odwrócił się. Dr Hartley stał przy schodach.

— Proszę zatrzymać się na chwilę! Zejdę! mówił ciągle szeptem. Odwrócił głowę i spojrzał przez ramię; poczem, położywszy obie ręce na poręczach schodów, zbiegł szybko jak młody chłopak i stanął przy Isaacsonie.

— Ja... my... zdaje mi się, byłoby dobrze, żebyśmy zamienili jeszcze kilka słów zanim pan odejdzie.

Widocznem było, że jego pewność siebie była sztuczną. Niepokój wyglądał z żółto brunatnych okrągłych oczu.

Ciąg dalszy nastąpi.

Kronika tygodniowa

Zostajemy obecnie pod wrażeniem sprawy górnośląskiej, która rzekomo ma być załatwiona definitywnie już w najbliższym czasie, może nawet jeszcze przed wyjściem niniejszego numeru *Nowości Illustrowanych* z uścisków maszyny drukarskiej, ale też i kończących się wakacyi. Ponieważ jednak sprawa górnośląska przybiera coraz bardziej i wyraźniej kształty węża morskiego, to jest przeciąga się w nieskończoność, a oficyalne wakacye kończą się już za tydzień, tym ostatnim oddajemy pierwszeństwo.

Na ogół były one bardzo piękne, pogoda dopisała w całej pełni, kto zatem mógł opuścić mury miasta i szukać wytchnienia na łonie przyrody, nie narzeka bynajmniej, że wyjechał na wieś, oczywiście o ile ten czas spędził gdzie w jakim zapadłym kącie, gdzie bodaj na chwilę zapomniał o codziennych dolegliwościach tego doczesnego żywota, a nie w jakiemś głośno reklamowanem zdrojowisku lub uzdrowisku. W tak zwanej prowincyonalnej dziurze, gdzie świat jest, jak to mówią, deskami zabity a poczta przychodzi raz na dwa tygodnie (dostaje się zwykle bardzo zdekompletowaną!...) ma się i więcej swobody i nie jest się narażony na taki wyzysk, jak tam, gdzie różnego rodzaju spekulanci, w przeciągu kilku miesięcy starają się zbić w kabzę tyle milionów, aby im wystarczyły na rok cały. Drą też bez litości skórę z swych bliźnich, których losy oddały w ich szpony, i nie pozwolą nawet płakać. Sezonowi restauratorzy, właściciele pensyonatów, kupcy i inni, którzy wybierają się na rozbój w ciągu letnich miesięcy do miejscowości kąpielowych, przypominają zupełnie pluskwy w zakładowych łóżkach, zmuszone krwią swych ofiar nasycić się i napoić do tego stopnia, by o głodzie i pragnieniu dotrzymać do następnego sezonu.

W zdrojowiskach i uzdrowiskach drożyzna też niesłychana, okoliczni włościanie korzystają ze sposobności i stawiają takie ceny, że pobyt w tych miejscowościach stał się dostępnym jedynie dla wielokrotnych milionerów, a i ci z irytacyi zapadają poważnie na zdrowiu i wracają z powrotem do miasta, aby tutaj dopiero odetchnąć i zabrać się do przeprowadzenia racyonalnej kuracyi.

Kto zatem chce użyć naprawdę świeżego powietrza, a zdrowia na szwank nie narazić, willegiaturę swą powinien odbyć gdzieś na uboczu, zdala od wielko-światowego zgiełku, wyzysku, lichwy i paskarstwa.

Letnicy zaczynają już powoli wracać do Krakowa, z jednym z nich, który jako człowiek praktyczny nie szukał świeżego powietrza w Zakopanem, Rabce lub Krynicy, ale w takim właśnie zapadłym kącie naszego kraju, odbyliśmy wywiad. Dowiedzieliśmy się z niego, że na wsi można jeszcze spędzić czas i przyjemnie i pożytecznie. Przyjemnie, ponieważ się ma swobodę, świeże powietrze, piękne widoki, pożytecznie, gdyż pobyt nie kosztuje ani połowę tego co musiałoby się wydać przez ten czas w Krakowie, gdzie można taniej żyć, niż w zdrojowisku, choćby nawet drugorzędnem lub trzeciorzędnem, gdyż pod względem cen są one wszystkie pierwszorzędne, podobnie jak krakowskie hotele lub restauracye.

Informator nasz opowiadał, że na wsi jest wszystkiego dość, z wyjątkiem trawy, którą słońce wypaliło, brak jej letnikom nie daje się odczuwać. Wpływa to może na zmniejszenie ilości mleka, temu jednak umieją zapobiedz nasi przemyślni kmiotkowie, dolewając doń odpowiednie *quantum* wody. Jest masło, są kury, są zatem i jaja, gdyż nieprawdą jest, co swojego czasu pisał *Kuryerek* o ruchu emancypacyjnym wśród kurzego rodu, którego przedstawicielki okazywały rzekomo chęć przemiany w koguty, jako piękniej upierzone. Jeśli zatem jest masło i są jaja, można mieć łatwo jajecznicę, z głodu więc się nie zginie. O mięso nieco trudniej, ale i tak było przed wojną. Kto wybiera się na lato na wieś, musi być na te przygotowany, że mięsożerstwo trzeba zawiesić na kołku, a stać się poniekąd jaroszem, co zresztą wpływa bardzo dodatnio na usposobienie. Nawet najpopędliwsze charaktery powracają po kilkutygodniowym pobycie na wsi do miasta, zmienione do niepoznania, łagodne jak baranki.

Rzecz naturalna, że najwygodniejszy pobyt na wsi jest wtedy, jeśli się tam jedzie na zaproszenie kogoś ze znajomych, który dołoży już z pewnością wszelkich starań, aby jego gość nie miał powodu do narzekania. I dlatego byłoby wskazanem, aby Związek Ziemian, który zainicyował wyjazd dzieci miejskiej inteligencyi na wieś na wakacye, zajął się w roku przyszłym i jej starszymi przedstawicielami. Gdzie jest kilka osób, tam się jedno jeszcze łatwo pożywi, mieszczuch zresztą inteligentny od jedzenia miał się czas prawie już odzwyczaić, nie wyrządzi więc gospodarzowi zbyt wielkiej szkody, a i powietrza świeżego zbyt wiele nie wyłyka. Taki agraryusz, zapraszający do siebie zwłaszcza umysłowo pracującego inteligenta i dający mu sposobność spędzenia bodaj kilku tygodni *procul negotiis*, ani sobie wyobraża, jakie mu takim kosztem wyświadcza dobrodziejstwo i jak głęboko zapisuje się w jego wdzięcznej pamięci.

Urodzaje, jak stwierdza nasz informator dopisały zupełnie, stodoły są już pełne, ziemniaki tylko, z powodu długotrwałej posuchy zapowiadają się słabo, miejscami nie obrodziły też owoce. Po ciężkim przednowku można się zatem spodziewać nastania pomyślniejszych czasów, o ile naturalnie plony nie wywędrują za granicę. Dawniej szły drogą paska, obecnie na podstawie ustawy o wolnym handlu. Wprawdzie straże graniczne mają być zwiększone, a granica szczelnie zamknięta, kto jednak chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie.

Jak się przekonaliśmy, patrząc na naszego informatora, po kilkotygodniowym pobycie na wsi, wygląda daleko lepiej, niż przedtem, nie sterczą mu, jak poprzednio kości policzkowe i żebra, narzekał nawet, że narazi go to na niepotrzebny wydatek, gdyż będzie musiał kazać rozluźnić nieco swe ubranie, które trzy miesiące temu musiał zwęzić, aby zeń nie opadły. Wytłumaczyliśmy mu jednak, że obawy jego są zupełnie bezpodstawne, gdyż za jakie dwa tygodnie najwyżej wróci *in statum, quo ante*, to jest schudnie, a na dowód okazaliśmy mu najświeższy cennik restauracyjny zatwierdzony podczas jego nieobecności przez magistrat. Przekonał się z niego na własne oczy, że przednowek właściwie się jeszcze nie skończył. Porcyjka ziemniaków kosztuje trzydzieści marek, bigos, czyli tak zwana tajemnica w kapuście albo przegląd tygodniowy, pięćdziesiąt, gulasz lub pluska siedmdziesiąt, pieczeń wieprzowa sto dziesięć, zupa piętnaście.

Złapał się za głowę, a potem za brzuch i westchnął gorzko, przypominając sobie niedawny pobyt na wsi, mogący się słusznie nazywać „anielskim" w porównaniu z tem co go tutaj czeka. Są wprawdzie w Krakowie kuchnie dla głodnych inteligentów, wydające dziennie coś około tysiąc obiadów, ale to kropla w morzu, gdy na nie czeka więcej niż pięćdziesiąt tysięcy. Można tu zastosować słowa Pisma świętego: „Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych...", a i ci jeszcze mają utrudniony dostęp do tego dobroczynnego korytka, musząc się przedtem zgłaszać do pań komitetowych po karty, upoważniające do posilenia grzesznego ciałka.

Perspektywa zatem na czas najbliższy dla miejskich głodomorów niezbyt pomyślna, mieli też rozum ci, którzy postarali się o to, aby wzmocnić siły pobytem na świeżem powietrzu i beztrosobliwem spędzeniu bodaj kilku tygodni. Nadomiar z powodu wprowadzenia wolnego handlu zniesiono dotychczasowe deputaty, ci zatem, którzy mieli do nich prawo, skazani zostali na łaskę i niełaskę wyzyskiwaczy, nazywających się przedtem paskarzami lub lichwiarzami żywnościowymi, a dziś „wolnymi handlarzami". A ceny jak gdyby się uwzięły, idą ciągle w górę, wartość zaś marki polskiej spada z dnia na dzień. Inteligent musi być zatem przygotowany, że rok gospodarczy 1921-22, który się obecnie rozpoczyna pod znakiem wolnego handlu, będzie dlań cięższy, niż poprzedni, zostający pod znakiem paska.

Wolny handel, który jak zapowiadali ci, co się oń tak dobijali, miał się tak dobroczynnie odbić na naszych stosunkach ekonomicznych, dla ogółu zwłaszcza zaś mieszkańców miast, nie przedstawia bynajmniej, jak już teraz widzimy, tych obiecywanych korzyści, przeciwnie odbija się bardzo fatalnie na ich położeniu, a co będzie dalej, to przewidzieć trudno, w każdym razie z pewnością nie lepiej, ale jeszcze gorzej. Wolny handel wpłynie uspokajająco jedynie na paskarzy, którzy po zniesieniu Urzędu walki z lichwą, pozbędą się zmory, spędzającej im nieraz sen z powiek. Proceder swój prowadzić będą i nadal, ale już pod zmienioną firmą i łupić nas ze skóry jeszcze niemiłosierniej. Nie kijem go zatem, ale pałką.

Ci z pomiędzy letników, którzy wakacye spędzili w zdrojowiskach, i uzdrowiskach, odczuli na sobie, a raczej na swoich kieszeniach, tak „pasek", jak i wolny handel. Wystarczy zaznaczyć, że w jednym z uzdrowisk naszych, pewien Krakowianin płacił dziennie po 600 marek w tamtejszym pensyonacie i miał za to pokój z pięknym widokiem, gdyż położony na poddaszu i obfitość świeżego powietrza, szyby bowiem w oknach były powybijane, prawdopodobnie w celu ułatwienia wentylacyi. Otrzymywał na śniadanie i na kolacyę szklaneczkę herbaty z sacharyną oraz czerstwą bułeczkę, na obiad było raz lub dwa razy w tygodniu mięso, zapachem swym bardzo przypominające dziczyznę. Zazdroszczono mu ogólnie, że potrafił znaleść tak tanie mieszkanie, on jednak był innego zdania i daleko prędzej zmykał stamtąd niż tam zjeżdżał, a na jego narzekania odpowiedziała właścicielka, że ona temu nie winna, gdyż dzięki obecnym stosunkom, nie tylko nic nie zarabia, ale dokłada jeszcze do tego z własnej kieszeni, byle tylko mieli wygodę spragnieni świeżego powietrza i wypoczynku.

W daleko szczęśliwszem położeniu są lekarze, posiadający pensyonaty w zdrojowiskach. Karzą sobie płacić porządnie, a dają mało jeść, nikt jednak nie może narzekać, gdyż każdemu z pacyentów ordynują z góry ścisłą dyetę, jako jedynie wskazaną w jego słabości. Siedzą więc chorzy cicho, przekonani, że głodowanie wchodzi w program ich kuracyi. Słyszą zresztą na każdym kroku, że obżarstwo wpływa najfatalniej na ciało i duszę, a któż dziś w życiu doczesnem nie ma pieczy nad swem ciałem, i nie pamięta o duszy ze względu na życie przyszłe?...

Mimo to pensyonaty są przepełnione i gdyby ich było nawet dwa razy tyle, niż jest obecnie, nie świeciłyby pustkami. Właściciele ich są przekonani, że ludzkości świadczą prawdziwe dobrodziejstwa i dziwią się, jeśli się znajdzie ktoś narzekający.

Ale wakacye się kończą, a z niemi i te tak zwane wakacyjne kłopoty, których gdyby nie było, nie pamiętałby człowiek, że był na świeżem powietrzu i że zażywał tak pożądanego a zasłużonego wypoczynku. Przeżycia letnie stanowią dlań temat rozmów na parę miesięcy.

Tegoroczne lato było skwarne i bez deszczu, na ogół przecież dość niewiele słyszało się o większych pożarach. Dopiero w ostatnim tygodniu Siersza i Radziszów zajęły opinię publiczną bardziej, niż niedawny pożar w puszczy niepołomskiej. Straszono, że grozi on całej puszczy zagładą, widocznie jednak tak nie było, skoro skończyło się na tej pierwszej wzmiance. Ciekawsze natomiast i więcej do myślenia dające są ostatnie pożary w Grodnie i Pińsku, gdzie pastwą płomieni padły całe dzielnice zamieszkałe przez żydów. Ratunek był utrudniony z powodu wybuchów nagromadzonej tam amunicyi. Przy tej sposobności znaleziono wiele ukrytej broni a nawet karabiny maszynowe.

Mimowoli nasuwa się pytanie skąd w domach żydowskich znalazło się tyle materyału wojennego. Zdania w tym kierunku są podzielone. Jedni utrzymują, że żydzi przygotowywali się do zbrojnej wyprawy na Palestynę celem odebrania jej z rąk niewiernych, drudzy natomiast przypuszczają, że zapasy te miały być użyte w kraju, ale nie na handel, lecz dla poparcia sąsiadów ze Wschodu, gdyby się im udało wedrzeć w granice Polski. To drugie przypuszczenie nie wydaje się nam być uzasadnionem, sprzeciwiałoby się bowiem zasadom neutralności, głoszonych przez synów Izraela. Znamy zresztą żydów z tego, że nie są bynajmniej zbyt wojowniczo usposobieni, czego dali dowody niejednokrotnie jeszcze za czasów austryackich, starając w wszelki możliwy sposób, choć uchodzili za bardzo lojalnych c. k. obywateli, wykręcić się od służby wojskowej. Trocki zadaje wprawdzie kłam temu twierdzeniu, okazując na każdym kroku prawdziwie machabejskie porywy, ale on to tylko wyjątek. Przyjąć zatem należy, że granaty ręczne miały być użyte do strzelania na wiwat podczas uroczystości (np. w dzień „Radości spraw"), karabiny maszynowe były zaś wraz z amunicyą przeznaczone na tak zwany „bruch", i czekały tylko sposobnej chwili, aż się stosunki jakoś ułożą.

Kto tam zresztą zajmowałby sobie głowę podobnemi głupstwami i to do tego we wakacye, które przeznaczone są na wypoczynek, a nie na łamanie sobie głowy nad tem, co mogłoby być, lub mogło się stać. Dzięki pożarowi granaty już wystrzeliły, a karabiny maszynowe powędrowały tam, gdzie jest ich właściwe miejsce.

Aby sobie i innym wakacyi nie psuć, zgodził się też Lloyd George, aby sprawę górnośląską oddać rozstrzygnięciu Ligi Narodów i wyjechał do Londynu, dokąd go podobno zaprosił de Valera. Zanim się zbierze Liga i wyda orzeczenie, skończą się nawet i akademickie wakacye, będziemy mieć zatem dość czasu, by się zająć obszerniej tą sprawą.

dziękując w serdecznych słowach wszystkim tym, którzy około powstania Klubu, a następnie budowy przystani największe położyli zasługi, a to mjr. Bobkowskiego, inż Drozdowskiego i innych. Po dokonanym akcie poświęcenia przystani przez biskupa polowego ks. Galla, zabrał ten ostatni głos i w pię-



Królestwo rumuńscy we Francyi: Prezydent Millerand wita parę królewską w Rambouillet.

knych słowach zwrócił uwagę zebranych na olbrzymie znaczenie ćwiczeń cielesnych w armii, dając za przykład starożytnych Greków. Z kolei zabrał głos wiceminister wojny gen. Michaelis, podnosząc tylko zasługi tej garstki oficerów i żołnierzy, którzy samorzutnie, bez jakiegokolwiek poparcia ze strony władz wojskowych potrafili w tak krótkim czasie, dokonać własnemi rękoma tego pięknego dzieła. Zapewnił jednak wszystkich, że odtąd wszystkie tego rodzaju wysiłki będą już zawsze jaknajowocniej popierane oficyalnie przez władze.

Mjr. Bobkowski, jako naczelnik przystani, zwrócił się do przedstawicieli spokrewnionych związków i towarzystw sportowych oddając do dyspozycyi członków całą przystań, skromną z wyglądu zewnętrznego, jednak wspaniałą wewnątrz wraz z taborem 11 łodzi.

Po poświęceniu i podniesieniu bandery orkiestra zagrała hymn państwowy poczem chrzczono szampanem jedenaście łodzi. Jedną z łodzi na cześć gości francuskich nazwano „Sekwana", której ojcem chrzestnym został szef misyi franc. jen. Niessel, a w chwili skrapiania jej winem tenże przemówił w języku polskim „Sekwano, twój ojciec chrzestny oddaje cię falom Wisły, abyś na niej z powodzeniem pływała".

Chrztu łodzi dokonali: W imieniu Naczelnika Państwa jen. Suszyński, jen. Niessel, za ministra spr. wojsk. jen. Michaelis, za szefa sztabu jen. Malczewski, jen. Rybiński, jenerałowa Suszyńska, przedstawiciele, Warszawskiego Klubu Wioślarek, Warsz. Tow. Wiośl., Sekcyi Wodn. A. Z. S., Koła Wioślarzy Warsz. i mjr. Ciborowski dca 1 p. sap. bardzo zasłużony około budowy urządzeń klubowych.

Po południu o godz. 4-tej nastąpiły zawody pływackie urządzone dla wojskowych z całej armii polskiej tak czynnej służby jak i rezerwy. Zawody te obejmowały: pływanie na 100 m. i 500 m. w dowolnym stylu z prądem rzeki oraz popisowe skoki do wody.

Z powodu wielkiej ilości zgłoszonych do 100 m. urządzono trzy przedbiegi, z których trzej pierwsi weszli do pływania rozstrzygającego, które przyniosło piękne zwycięstwo por. Dobrowolskiemu w czasie 54 $^2/_5$ sek., drugie miejsce zajął inż. Sewczyński 58 $^4/_5$ sek. i trzecie podchorąży Berent 59 sek.

W pływaniu na 500 m. na 16 zawodników pewne odniósł zwycięstwo rez. szer. Jurkowski w 6 min. 20 $^1/_5$ sek., drugim był rez. saper, Moritz. 6 m. 35 sek., trzecim podchor. Neisner 6 m. 36 sek. po bardzo ostrej walce o miejsce.

Skoki: 1 miejsce zajął rez. plut. Rudy, 2 por. Markoni, 3 rez. kanc. Semadeni.

Po rozdaniu nagród zwycięzcom przy dźwiękach orkiestry na pokładzie przystani uroczystość tego dnia zakończono tańcami.

W olimpiadzie pływackiej startowało 44 zawodników, zgłoszeń było 76. Każdy D. O. G. wysłał obowiązkowo po 2 uczestników. Prasa warszawska z uznaniem podkreśla celowość urządzeń klubowych, dotąd Warszawie obcych, jak również wzorowe urządzenie zawodów, które W. K. W. postawiło na wysokim europejskim poziomie.

Prezesem W. K. W. jest mjr. Bobrowski, gospodarzem kpt. Drozdowski, który wraz z kpt. Guzkiem kierowali budową. Komendantem przystani inż. Bobkowski, były naczelnik przystani Oddziału Wioślarskiego krakowskiego Sokoła.

Odwiedziny monarsze w krainie wiecznych lodów.

(Do illustracyi na stronie 10.).

Kraje podbiegunowe północne gościły u siebie w ostatnich czasach rzadkich przybyszów. Była nimi duńska para królewska, król Chrystyan X. i jego żona Aleksandra, którzy w towarzystwie synów Chrystyana-Fryderyka i Knuta, urządzili dwumiesięczną wycieczkę w okolice podbiegunowe, celem zwiedzenia Islandyi i Grenladyi, wchodzących politycznie w skład państwa duńskiego, choć bardzo luźną z niem stanowiących całość. Islandya jest od listopada 1918 państwem niezależnem, połączonem z Danią jedynie unią personalną, wobec czego każdorazowy król duński nosi też odtąd tytuł i króla Islandyi. Grenlandya od roku 1721 jest kolonią duńską, więcej *de nomine* niż *de facto*, choć bowiem obejmuje przeszło dwa i pół miliona kilometrów obszaru, zamieszkałego zaledwie przez dwanaście tysięcy ludności, w tem trzysta Duńczyków, krajowi macierzystemu niewiele przynosi korzyści.

Król Chrystyan X. nie jest pierwszym z monarchów duńskich, który odwiedził Islandyę, bawili tam poprzednio ojciec jego Fryderyk VIII. i dziad Chrystyan IX., królowę duńską gościła Islandya dopiero po raz pierwszy.

Rodzina królewska zwiedziła część południową kraju i gejsery. Była w Thingvalla, Alpingi, dawnem miejscu zgromadzeń prawodawczych, przyjmowana wszędzie z gorącą sympatyą, lecz zarazem z wielką prostotą, nie przypominającą w niczem przyjęcia głów koronowanych przez ludność któregokolwiek z krajów europejskich, silących się za wsze na to, aby tego rodzaju uroczystość odbyła się jak najbardziej ostentacyjnie i hałaśliwie, aby zewnętrzny blichtr zastąpił serdeczność, której próżno starałby się ktoś szukać. Tu widziało się zupełnie co innego. Rodzinę królewską przyjmowano jak zwykłych obywateli, ale naprawdę szczerze i serdecznie, bez śladu obłudy i bizantynizmu. Ludy północne stoją pod tym względem daleko wyżej od południowych, bardziej od nich kulturalnie rozwiniętych, ale też i moralnie zniepraw̨ionych. Do Thingvalla przybyła królowa Aleksandra na zwykłym wozie chłopskim i nic to jej majestatowi nie zaszkodziło, król i następca tronu towarzyszyli jej konno.

Grenlandya gościła monarchę swego po raz pierwszy wogóle. Pobyt duńskiej pary królewskiej w tym ciekawym, a tak mało znanym kraju, dał jej sposobność bliższego zetknięcia się z tubylcami, którymi są Eskimosi, poznania ich zwyczajów i obyczajów. Lud to prosty, nie znający europejskiej kultury, zamknięty w sobie, uczciwy do przesady. Pędzą życie w swych szałasach, sporządzanych ze skór i śniegu, zajmując się rybołóstwem i polowaniem na psy morskie (foki), których skóry dostarczają im materyału na ubrania, jednakowego dla obu płci, a tłuszcz do wyrobu oleju, służącego do potrzeb domowych i przeznaczonego na wywóz. Długowiecznością się nie cieszą, rzadko kto przekroczy pięćdziesiątkę, usposobienie ich jest melancholijne, jak wogóle i całe otoczenie, wśród którego pędzą swe jednostajne życie. Przez cztery miesiące panują w Grenlandyi zupełne ciemności, lato u nich, to pora odwilży, trwająca trzy miesiące, podczas których budzi się do życia wegetacya, ograniczająca się do mchów, wierzb i brzóz karłowatych. Eskimosi są przeważnie wyznania luterskiego.

Władcę swego przyjęli Eskimosi z uszanowaniem, połączonem z religijną trwogą, charakteryzującą ludy pierwotne. Para królewska interesowała się żywo całem otoczeniem, krajobrazem i wszelkimi przejawami życia, tak różniącymi się od europejskich.

Król Chrystyan przewodniczył w urządzanych



Królestwo rumuńscy we Francyi: Królowa rumuńska w towarzystwie pani Millerand i prezesa gabinetu Brianda podczas przechadzki w parku zamkowym w Rambouillet.

w tym czasie wyścigach ich łodzi, w czem popisywali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Kiedy *Valkyrien*, statek wiozący parę królewską, powracał do Kopenhagi, powitały go salwami honorowemi okręty francuskie *Marne* i *Oise*, przybyłe w tym celu umyślnie na wody duńskie.



Wojskowy Klub Wioślarski w Warszawie: Przemówienie biskupa dra Galla podczas uroczystości poświęcenia przystani.

Usuwanie pamiątek naszej niewoli.

(Do illustracyi na str. 11).

Odrodzona Polska pozbywa się powoli, ale stale wszelkich pamiątek, przypominających nam stuletnią zeszło niewolę i rządy najeźdźców na naszych ziemiach. Każdy ze zaborów ma ich dość, najwięcej przecież była Kongresówka, w szczególności zaś Warszawa, którą Moskale starali się koniecznie przerobić na rosyjskie miasto.

Oczy każdego z Polaków, a bardziej jeszcze jego serce, raził zwłaszcza prawosławny sobór na Placu Saskim, zbudowany przez Moskali z wielkim nakładem pracy i funduszów. Gmach ten potężny, w stylu bizantyjskim, nie licował bynajmniej z otoczeniem, a szpeciła go dzwonnica, bez której żadna cerkiew obejść się nie może. To wdarcie się Wschodu między zabytki zachodniej architektury, niektóre nawet bardzo stylowe, odbijało bardzo rażąco od otoczenia, stanowiąc przy tem przykre wspomnienie naszego upadku i poniżenia przez dzicz azyatycką, która wystawieniem soboru dziękowała Panu Bogu za swe zwycięstwo i prosiła Go, by jej tu pozwolił pozostać jak najdłużej.

Ale Moskale i dziękowali Panu Bogu i prosili Go po swojemu. I przy budowie Domu Bożego starali się obłowić należycie różni czynownicy i kradli jak kruki, w czasie budowy waliły się też kilkakrotnie ściany zbudowane z nieodpowiedniego materyału, nim aż pod dach doprowadzono, a cebulaste wieże trzeba było złocić kilkakrotnie, gdyż złoto, na ten cel przeznaczone, powędrowało do kieszeni różnych dostojników rosyjskich, a zastąpiono je imitacyą, która co pewien czas czerniała ulegając wpływom atmosferycznym. Struktura dzwonnicy raziła nawet Moskali mających jakieś poczucie stylowości.

Z chwilą, gdy nieproszeni goście opuścić musieli wbrew swej woli mury naszej stolicy, zastanawiano się długo i szeroko, co się ma stać z soborem prawosławnym na Placu Saskim, czy ma pozostać nadal, czy też podzielić los innych zabytków pozostawionych przez moskiewskie rządy. Ostatecznie zadecydowano, że sam sobór po przeprowadzeniu niektórych zmian architektonicznych, odbierających mu bodaj częściowo wybitnie wschodni charakter, zostanie zamieniony na kościół katolicki dla warszawskiego garnizonu, na zagładę skazano zaś dzwonnicę i przystąpiono do jej rozbiórki, co przedstawia nasza illustracya.



Wojskowy Klub Wioślarski w Warszawie: Grupa sędziów z inauguracyjnych zawodów z przewodniczącym E. Szrederem, Komitet Organizacyjny z pułk. Wolskim, oraz zwycięzcy: plut. Rudy (X), por. Dobrowolski (XX), szer. Jurkowski (XXX).

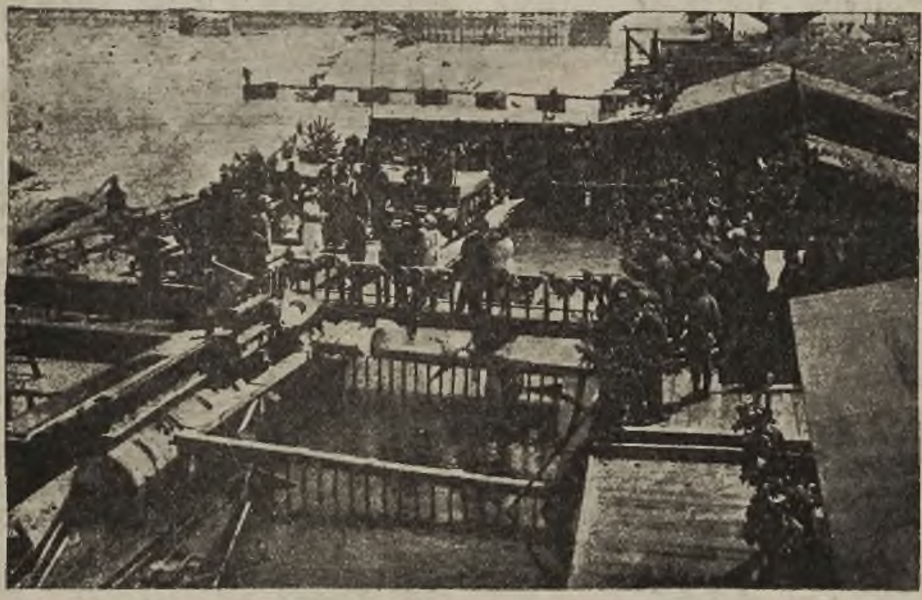
Zgon znakomitego śpiewaka.

(Do ilustracyi na stronie 11).

W pierwszych dniach bieżącego miesiąca zmarł w rodzinnem mieście Neapolu śpiewak światowej sławy, Henryk Caruso.

Urodzony w roku 1873 jako syn ubogiego rzemieślnika w dziale mechanicznym, przeznaczony został przez ojca do tego samego co i on zawodu. Młody chłopak, obdarzony fenomenalnym głosem, już od pierwszych swych lat rwał się do sztuki i brał udział przeważnie w chórach kościelnych, co doprowadziło do scysyi domowych, a nawet zmusiło młodego Henryka do opuszczenia rodzicielskiego domu. Odtąd, jako piętnastoletni młodzieniec, musiał sam starać się o swe utrzymanie. Głos jego już wówczas tak się wybijał, iż ks. Walii, późniejszy król Edward, zaproponował mu wyjazd do Anglii, na co przecież Caruso się nie zgodził. Losem jego zajął się znany śpiewak Mastiani, który zapewnił mu naukę u mistrza światowej sławy, Wilhelma Vergini. Ten zajął się gorliwie swym uczniem, a zamiast zapłaty za udzielaną naukę, zobowiązał go kontraktowo do przekazywania sobie 25 procent od pobieranych honoraryów w ciągu pierwszych pięciu lat występów. Kontrakt ten został później sądownie przez Carusa unieważniony.

Początek karyery scenicznej Carusa był trudny i nie przyniósł mu zbytniego rozgłosu, był to bowiem czas wszechwładnego panowania Wagnera, a do ról tego rodzaju wspaniały już wówczas jego tenor liryczny bynajmniej się nie nadawał. Po pierwszym engagement na deskach opery neapolitańskiej, wyjechał do Egiptu, stamtąd zaś do Paryża i Berlina, dopiero jednak występy gościnne w południowej Ameryce zyskały mu rozgłos, którego nie mógł





Poświęcenie przystani połączone z podniesieniem flagi i chrztem jedenastu łodzi **Wojskowy Klub Wioślarski w Warszawie**: Kąpielisko i plaże sztuczne na pontonach.



Odwiedziny monarszo w krainie wiecznych lodów: Król duński Chrystyan X. w rozmowie z Eskimosami.



Odwiedziny monarsze w krainie wiecznych lodów: Regaty Eskimosów, urządzone na cześć duńskiej pary królewskiej.

znaleźć w swej ojczyźnie. Po amerykańskich tryumfach widzimy go w medyolańskiej operze *La Scala* teraz już ocenianego należycie i porywającego słuchaczy swym wspaniałym głosem. Z kolei występował z ogromnem powodzeniem w londyńskiej operze *Covent Garden*, następnie zaś przeniósł się do Ameryki, gdzie jako członek nowojorskiej *Metropolitan Opera* zbierał laury i dolary. Tutaj osiadł na stałe i dopiero na wiosnę roku bieżącego powrócił do rodzinnego miasta jak gdyby w przeczuciu zbliżającej się śmierci. Zmarł na zapalenie otrzewnej.

Wspaniały głos jego, wysoka skala i potęga wywierały na słuchaczów wpływ wprost magiczny. Szczególniejsze pole do popisów znajdował w operach Pucciniego, który jedno z swych ostatnich dzieł „Dziewczę z Zachodu“ napisał umyślnie dla występów Carusa w Nowym Jorku.



Usuwanie pamiątek naszej niewoli: Prace około burzenia dzwonicy byłego soboru prawosławnego na Placu Saskim w Warszawie.

Aj. fot Maryan Fuks, Warszawa.

Pogrzeb Carusa odbył się w Neapolu z nadzwyczajną okazałością. Wzięły w nim udział tysiączne tłumy, między nimi przedstawiciel króla włoskiego, wśród powodzi wieńców zwracały uwagę od królowej angielskiej i burmistrza Nowego Jorku.

Uniwersalnym spadkobiercą swego milionowego majątku uczynił Caruso swego brata i dwu jego synów, żona ograniczoną została do prawnej części spuścizny, macocha otrzymała dożywocie, naturalna zaś córka, Marya, została podobno zupełnie pominiętą.



Zgon znakomitego śpiewaka: Słynny tenor włoski, Henryk Caruso w towarzystwie żony.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył M. Pieróg, Maków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

a a a a
a a e e
m m r t
t w w z

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej cel, 2. Postać biblijna, 3. Budowla wodna, 4. Jeden z członków ludu znanego z wędrówki narodów.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył W. Magnuski, Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół, utworzą nazwę wyspy afrykańskiej.

— ara
— rab
— ama
— pis
— ama
— zot
— oła
— cra
— gat
— ota

Zagadka literacka.

Ułożył T. Skalski Tarnów.

Pierwsze litery tytułów dzieł podanych pisarzy, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko węgierskiego powieściopisarza.

Niemcewicz?
Kraszewski?
Zieliński?
Słowacki?
Sienkiewicz?

Logogryf.

Ułożyła Marylka K., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko politycznej osobistości, o której się obecnie wiele słyszy.

— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Polska forteca nad Dnieprem, 2. Wyspa na morzu Śródziemnem, 3. Miejsce klimatyczne europejskie o światowej sławie, 4. Część budynku, 5. Roślina lekarska, 6. Znany minerał, 7. Rodzaj ludzi, 8. Rodzaj zabezpieczenia.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego: „W c. k. urzędzie" (powieść), 2) Album Legionów Polskich

Rozwiązanie zagadek z Nru 32.

Logogryf. R. San, Radom, brama, Łonak, krata, bajka, rower, Styka, rożen, Pasek, Iga, a

Kryształówka. W. Pac, Mekka, **wakacyo**, Jacek, syn, o.

Łamigłówka zgłoskowa. Kanikuła.

Zadanie do uzupełnienia: Wosk, Iran, Muza, funt.

Szarada. Kałamarzo.

Rebus: Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Poinc, Grójec' J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło. K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, E. Darowska Warszawa, M, Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol. J. Cześnikiewicz Kraków, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Poznań, S. Zakrzewski Sandomierz. H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, W. Komperdowa Lwów, W. Śmiszkiewicz Milówka, J. Cercha Miechów, H. Rakowiecka Warszawa, W. Zawadzki Zakopane. R. Dębski Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Zawadzki Zakopane (powieść); 2) R. Dębski Warszawa (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.